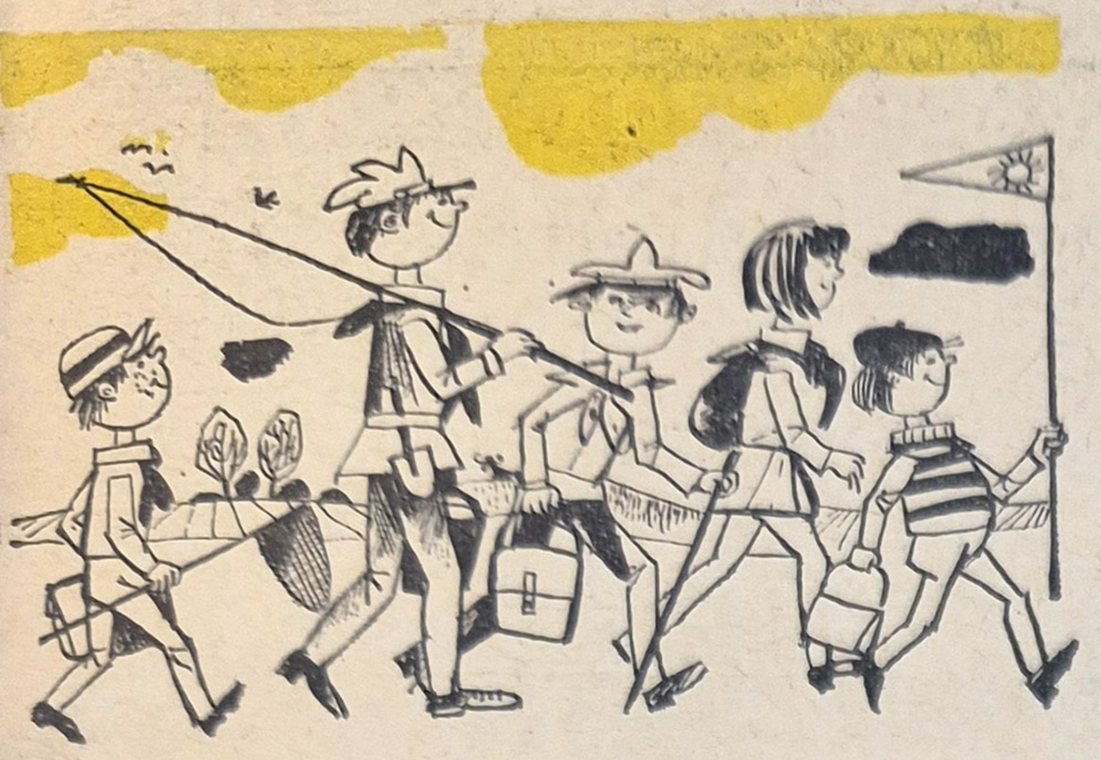

Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

NR 40 (2240) | PIĄTEK 18 maja 1973 r. | CENA 50 GROSZY

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 WARSZAWA

Już od jutra KUKU-FRAJDA!

PRZYPOMINAMY! W poprzednim numerze „Świata Młodych" ogłosiliśmy KUKU-FRAJDĘ — naszą akcję tropienia wiosny.

PRZYPOMINAMY! KUKU-FRAJDA — to udział w jednej, dwóch lub trzech wycieczkach w czasie od 19 maja do 10 czerwca 1973 roku.

BIWAK U KUKUŁKI! CO W TRAWIE PISZCZY! RANDKA ZE SKOWRONKIEM!

— oto tylko niektóre proponowane przez nas tematy wycieczek KUKU-FRAJDY!

W poprzednim numerze zamieściliśmy również wzór meldunku, jaki powinny nadesłać zespoły uczestniczące w KUKU-FRAJDZIE.

Dziś pełna lista nagród.

Zespoły — zastępy, klasy, grupy, zespoły świetlicowe itp. — które zorganizują jedną wycieczkę i nadeślą poświadczony meldunek — wezmą udział w losowaniu:

3 kompletów traperskich (finka + toporek).

Zespoły, które zorganizują 2 wycieczki, wezmą udział w losowaniu

3 warników turystycznych.

Zespoły, które zorganizują 3 wycieczki, wezmą udział w losowaniu

3 namiotów dwuosobowych.

JUŻ JUTRO RUSZAMY NA KUKU-FRAJDĘ. NIE ZWLEKAJCIE! CZEKAMY NA PIERWSZE LISTY!

W SZKOLE STU NARODÓW

i wtedy nawet, gdy sam usiądzie na katedrze i zacznie machać nogami. Wydaje mi się, że najważniejsze jest to, aby nie zapominać, że każdego człowieka, bez względu na wiek, trzeba nie tylko szanować, ale i traktować indywidualnie".

„— Jeśli dziewczyna czy chłopak mają ochotę śmiać się na cały głos, to niech to robią, choćby w szkole. Kto wie, może w domu im się wyśmiać nie dają. Przecież dobry nauczyciel nie straci nic ze swego autorytetu i wówczas, gdy pozwoli na śmiech

Te słowa wypowiedziane przez przedstawiciela zawodu, o którym jedni mówią z goryczą: najtrudniejszy, najniewdzięczniejszy, a inni z entuzjazmem: najpiękniejszy! najciekawszy! utkwiły mi szczególnie w pamięci. Są — moim zdaniem — najlepszą rekomendacją człowieka, którego Wam pragnę przedstawić. A więc pozwólcie: **Pan mgr Wojciech Dindorf, pracownik Katedry Fizyki Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu.** Przez 6 lat, jako pierwszy obywatel z krajów demokracji ludowej, był nauczycielem w szkole Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku.

C.d. na str. 4—5

Wierzchem na delfinie

NIEZWYKŁĄ przygodę mieli rybacy z radzieckiej pływającej bazy-przetwórni na Atlantyku. Podczas sortowania ryb znaleziono w sieci żywego delfina. Rybacy uwolnili delfina i wpuścili go do okrętowego basenu. Po kilku dniach delfin zadomowił się na statku i zaprzyjaźnił z rybakami do tego stopnia, że pozwolił im „dosiadać się". Po dwutygodniowym pobycie delfina na statku-bazie postanowiono wypuścić go na wolność. Na pamiątkę pozostały rybakom niezwykłe fotografie z... przejażdżek wierzchem na delfinie.

Na drewnianych rowerach

Zdjęcie to dedykujemy miłośnikom kolarstwa w dniach Wyścigu Pokoju. Drewniane rowery, które brały udział w ulicznym pokazie w Schetzingen (NRF), są wiernymi kopiami pierwszych rowerów opatentowanych przez von Draisa w 1818 r. **Foto: CAF**

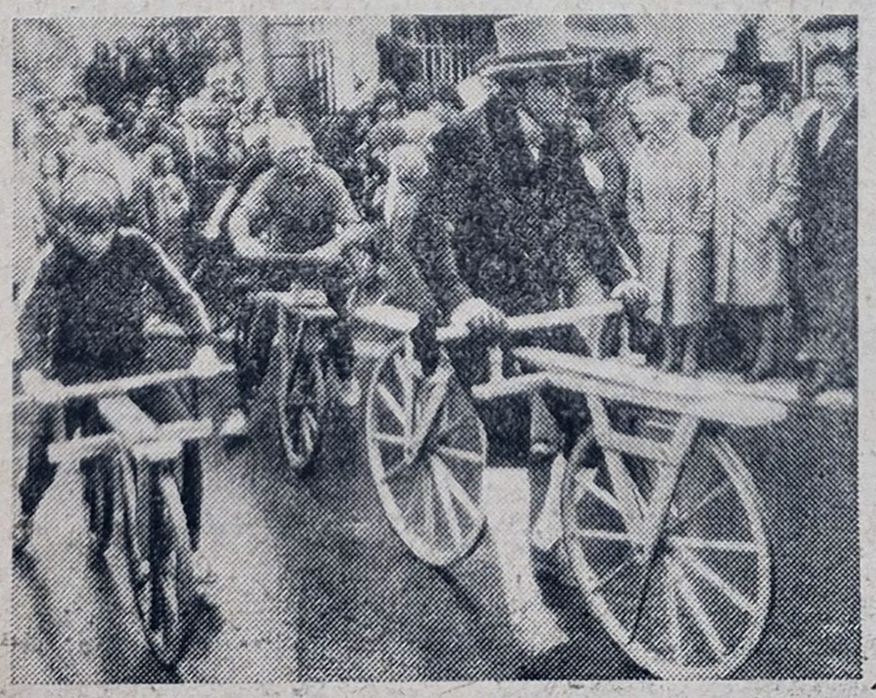

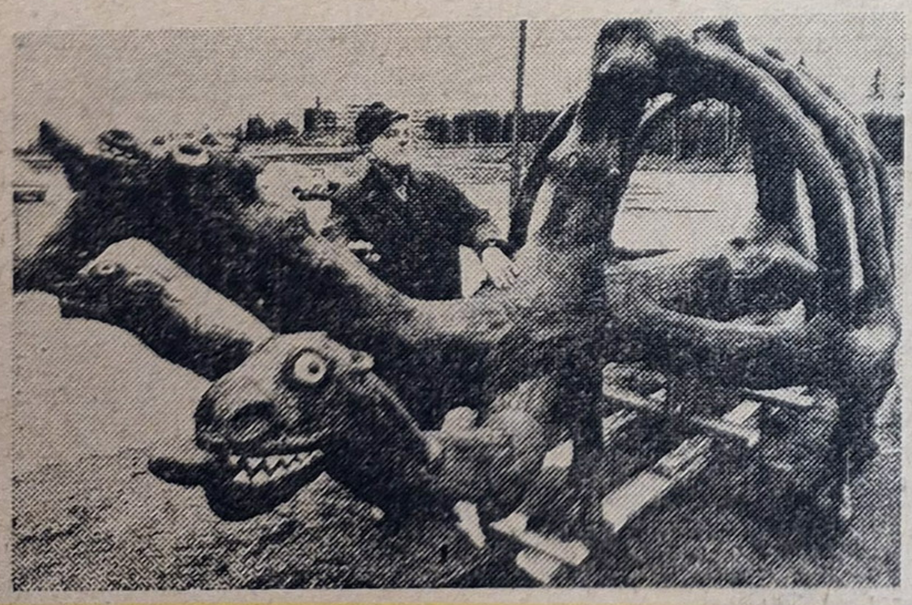

TRZYGŁOWY POTWÓR

Fiński plastyk Kalle Virtanen wyrzeźbił z drzewa legendarnego potwora morskiego, który ma służyć dzieciom do zabawy zamiast zwykłej metalowej przeplotni. **Foto: CAF**

BYŁ TAKI CZAS...

...kiedy za posiadanie nielegalnych książek czy czasopism w języku polskim groziła kara śmierci. A mimo to polskie gazety, broszury, książki, ulotki drukowano, kolportowano, czytano. W latach 1939-1945 w czasach największego zagrożenia dla całego narodu polskiego znaleźli się ludzie, którzy podejmując najwyższe ryzyko, zdecydowanie przeciwstawiali się zalewowi propagandy hitlerowskiej. Pierwsze konspiracyjne drukarnie ruszyły już we wrześniu 1939 roku, podnosząc na duchu załamanych klęską, informując o aktualnych poczynaniach sojuszników, ukazując realne perspektywy dalszej walki i zwycięstwa.

Był to dopiero początek tej walki i każde polskie słowo mówiące o tym, że nie wszystko jeszcze stracone, liczyło się wtedy na wagę złota...

Na targach książki chodzimy często od stoiska do stoiska, grymasimy, nie zawsze jesteśmy zadowoleni z zakupu, choć mamy prawie nieograniczone możliwości wyboru. O tym jakie koleje losu przechodziły polskie książki i gazety i jak je traktowano blisko trzydzieści lat temu — przeczytaj obok.

NAJWIĘCEJ W EUROPIE

POLSKA szczyciła się wśród krajów okupowanej Europy największą ilością tajnych wydawnictw.

Tak duża działalność wydawnicza mogła oczywiście rozwinąć się tylko w oparciu o drukarnie. Z początku w większości korzystano nielegalnie z oficjalnych zakładów drukarskich, a potem w miarę rozwijania działalności tworzono właśnie tajne zakłady wydawnicze. Największe z nich (TWZW) założone w roku 1941 w Warszawie posiadały już w 1943 roku aż sześć warsztatów drukarskich, introligatornię, litografię i chemigrafię. Na wypadek powstania przygotowana była nawet maszyna rotacyjna. Pracowało tam 56 pracowników etatowych i miesięcznie drukowali oni ponad 300 tysięcy egzemplarzy róznego rodzaju wydawnictw: książek, gazet, ulotek itp.

Tajne drukarnie znajdowały się w wielu miastach okupowanej Polski. Łącznie było ich blisko 200, w tym około połowa w Warszawie.

TAJNE BIBLIOTECZKI W OBOZACH ZAGŁADY

Ludzie, którzy przeszli przez piekło hitlerowskich obozów koncentracyjnych i ocalili życie, twierdzą, iż nieludzkie warunki egzystencji rozbudzały niejednokrotnie głód intelektualny. Stąd potrzeba czytania, słuchania opowieści, recytacji. Zdarzało się, iż więzień znający dobrze jakąś książkę musiał ją opowiadać wiele razy. Ci, którzy pamiętali wiersze zapisywali je w specjalnych zeszycikach tworząc pierwsze obozowe książki. Z biegiem czasu powstały całe biblioteczki złożone z tomików ręcznie przepisywanych, a dotyczących różnych dziedzin. Np. w obozie w Ravensbrück kursowały między więźniarkami książki do nauki języka angielskiego i wykłady historii ręcznie przepisywane.

Książki polskie były w obozach oczywiście nielegalne, imano się więc różnych sposobów, aby je za druty przemycić. Jednym z takich sposobów było np. rozcięcie książki na poszczególne kartki i owinięcie w nie produktów przysyłanych w paczkach, np. jajek (od grudnia 1942 roku wolno było przysyłać paczki). Do wspomnianego już obozu w ten sposób przemycono całego „Pana Tadeusza"!

Dziełem najczęściej spotykanym w tajnych bibliotekach obozowych była właśnie ta książka. Oprócz tego były tam utwory Prusa, Reymonta, Żeromskiego, Słowackiego, Wyspiańskiego i wielu innych.

Czytano zawsze w ukryciu, często tylko w nocy, a przechowywano owe bezcenne książki w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach, np. przypinano je pod szafami i stołami, aby powtarzające się co jakiś czas kontrole niczego nie znalazły.

„PRZECZYTAJ I PODAJ DALEJ"

Od samego początku praca w nielegalnych drukarniach i przy kolportażu gazet i czasopism należała do bardzo niebezpiecznych. Warunki tej pracy były nadzwyczaj ciężkie. Trzeba było przecież nie tylko zdobywać potrzebne surowce jak papier czy farby, ale i konspiracyjnie drukować i rozprowadzać systematycznie niekiedy bardzo wysokie nakłady czasopism. Warto wiedzieć, że niektóre z gazet drukowanych rozchodziły się w ilości 50 tysięcy egzemplarzy. Przeciętny nakład pism powielanych wynosił od 200 do 1000 sztuk.

Prasa konspiracyjna wydawana była przez różnego rodzaju partie, stronnictwa, grupy polityczne i społeczne, organizacje wojskowe a nawet przez pojedynczych ludzi. Forma owych pism była również różnorodna: od ręcznie przepisywanych w kilku egzemplarzach biuletynów nasłuchów radiowych — do wielonakładowych kolorowych tygodników.

W roku 1944, kiedy konspiracyjna prasa przeżywała swój najbujniejszy rozkwit w okupowanej Polsce ukazywało się około 600 tytułów, a ogółem przez cały czas okupacji — około 1500. Wychodziły również w tym czasie pisma specjalistyczne dla kolejarzy, kobiet, dzieci, taterników, służby zdrowia oraz czasopisma poświęcone sztuce. Drukowano tajne gazetki w języku angielskim i francuskim dla jeńców wojennych, po niemiecku — dla prowadzenia propagandy dywersyjnej wśród Niemców; po żydowsku i hebrajsku — dla czytelników pochodzenia żydowskiego.

Czytelnicy tej prasy byli — w razie ich ujęcia przez okupanta — traktowani tak samo jak kolporterzy, pracownicy tajnych drukarni czy punktów rozdzielczych. Groziła im śmierć natychmiastowa lub obóz koncentracyjny. A jednak ilość wydawanych pism stale wzrastała. I ludzie nie zważając na grożące im śmiertelne niebezpieczeństwo przekazywali sobie z rąk do rąk tajne gazetki. Obowiązywała bowiem zasada: przeczytaj i podaj dalej...

KSIĄŻKI Z PODZIEMNYCH DRUKARNI

KSIĄŻKI POLSKIE wydawane konspiracyjnie w latach okupacji hitlerowskiej drukowano w przedziwny sposób. Niektóre z nich ukazywały się nawet w drukarniach... więziennych skrupulatnie kontrolowanych przez Niemców! Bardzo często druki te przygotowywano tak, iż okładka i kilka pierwszych stron dotyczyły czegoś innego, a dopiero dalej znajdowała się zasadnicza treść książki. Dla przykładu: CZESŁAWA BUNIEWSKIEGO — „Przyczyny naszej klęski i przyszłość państwa polskiego" (1940 r.) miały okładkę, na której wydrukowano: MARIA KARCZEWSKA — „Ogródek warzywny na własne potrzeby", wyd. 2. W-wa 1937. Wyd. Tow. Oświaty Rolniczej!

Wydawano konspiracyjnie literaturę popularnonaukową, lektury szkolne, elementarze, powieści, wiersze, książeczki dla dzieci, podręczniki wojskowe, a nawet nuty, śpiewniki i książeczki do nabożeństwa. Znawcy przedmiotu twierdzą, iż łącznie ukazało się nielegalnie (nie licząc wydawnictw w czasie Powstania Warszawskiego) około 1500 tytułów książek i broszur w nakładach od kilku do 15 000 egzemplarzy. Niektóre z tych książek miały wiele wydań, np. A. Fiedlera „Dywizjon 303" — aż siedem! Oczywiście większość drukowano po polsku, ale były również wydawnictwa książkowe w językach innych, np.: żydowskim, niemieckim, a nawet po łacinie.

Część tych książek stanowiły nowe wydania literatury pięknej, np. A. Mickiewicza czy S. Żeromskiego, ale ogromna większość została napisana na zamówienie wydawnictw konspiracyjnych przez autorów żyjących, ukrywających się pod pseudonimami. Zresztą niektóre z owych pseudonimów do dziś pozostały nierozszyfrowane...

Cała produkcja wydawnicza była rozprowadzana w najgłębszej tajemnicy przez sieć organizacji walczących z Niemcami oraz częściowo przez niektóre księgarnie, sprzedające tylko osobom zaufanym.

Opracował:

JERZY DĄBROWSKI

TO BYŁA BARDZO WAŻNA WIZYTA

W dniach 11 i 12 maja gościliśmy w Polsce Sekretarza Generalnego Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, Leonida Breżniewa, tegorocznego laureata Międzynarodowej Leninowskiej Nagrody Pokoju. Stałem wśród Waszych koleżanek i kolegów w czasie powitalnego przejazdu Leonida Breżniewa i Edwarda Gierka ulicami Warszawy. Powitanie było niezwykle serdeczne. Później korespondenci zagranicznych dzienników ocenili, że żaden z odwiedzających Polskę mężów stanu nie spotkał się z tak gorącym, przyjacielskim przyjęciem.

Wizyta Leonida Breżniewa miała charakter roboczego spotkania z przywódcami naszej Partii i Rządu. Wymieniono informacje i poglądy o tym, nad czym aktualnie pracuje kierownictwo PZPR i KPZR, rząd PRL i ZSRR. Te rozmowy potwierdziły raz jeszcze, że we wszystkich węzłowych sprawach ideologicznych i politycznych między naszymi partiami i rządami istnieje całkowita zgodność poglądów.

Był w czasie tej wizyty i moment uroczysty. Leonid Breżniew udekorował Edwarda Gierka przyznanym mu w styczniu z okazji 60-lecia urodzin Orderem Lenina. Stanowi to wyraz uznania dla ogromnych zasług I Sekretarza naszej Partii w wypracowaniu programu budowy socjalistycznej Polski, w realizacji w Polsce idei Lenina. Jest to wyraz uznania dla Edwarda Gierka jako wybitnego działacza ruchu komunistycznego, dla jego zasług w umacnianiu przyjaźni polsko-radzieckiej. A jak stwierdził tow. Gierek: jest to wyraz uznania dla całej naszej Partii.

Wizyta Leonida Breżniewa w Polsce przypadła w bardzo ważnym okresie. Trwają przygotowania do Europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy. Prowadzone są rozmowy w sprawie redukcji zbrojeń. Trwały pokój wydaje się być bliższy niż kiedykolwiek. Decydującą rolę w tych pozytywnych zmianach odegrała polityka państw socjalistycznych z ZSRR na czele. Rozmowy w Polsce, a następnie w NRD, przed wizytą Leonida Breżniewa w NRF i jego rozmowami z prezydentem USA, Richardem Nixonem potwierdzają, że jest to wspólnie wypracowywana i realizowana przez kraje socjalistyczne polityka. Jest to wyraz uznania dla wkładu Polski w realizację tej polityki.

Dlatego ta wizyta była tak ważna.

JERZY MAJKA

Łódź. Dzień 9 maja. Godzina 17.00.

Fanfarzyści grają hejnał. Gospodarze miasta i goście zajmują miejsca na trybunie, a niezliczeni widzowie gromadzą się w oknach, na balkonach, na chodnikach... Wszyscy chcą bowiem obejrzeć niecodzienne widowisko — Paradę Młodości.

Fanfarzyści oddali już głos orkiestrze pocztowców, która gra marsza. W rytm jego melodii całą szerokością ulicy Piotrkowskiej rusza 15-tysięczna rzesza zuchów, harcerzy i instruktorów Łódzkiej Chorągwi ZHP. Pochód ten — PARADA MŁODOŚCI — jest paradą tego wszystkiego, co harcerze zdobyli własną pracą i pomysłem, prezentacją wszystkich osiągnięć łódzkich dziewcząt i chłopców należących do ZHP, okazją do pokazania dorosłym mieszkańcom miasta „kominów i fabryk", że młodzi doskonale potrafią i pracować, i uczyć się, i bawić, i wypoczywać.

Tekst: B. SKÓRSKA
Foto: K. Adamowski

PARADA BARW i POMYSŁÓW

Z samego tylko hufca Widzew 1200 harcerek i harcerzy weźmie udział w zbliżającej się akcji letniej. Co trzeci harcerz wyjedzie nad morze lub nad jeziora. Nic więc dziwnego, że reprezentanci tego hufca paradują z namiotem.

Od 14 już lat łódzcy harcerze z Bałut urządzają doroczne Festiwale Teatrzyków Zuchowych. Ich główni aktorzy — kukiełki — okazali się bombowym elementem dekoracyjnym majowej parady.

Tajemnica V-2

Było to w maju, 30 lat temu. Na wschodzie hitlerowcy nieustannie się cofali przed nacierającą Armią Radziecką, na zachodzie lada moment miał nastąpić aliancki desant na plażach Normandii.

W tej sytuacji Hitler wiąże wszystkie swoje nadzieje z użyciem nowej tajemniczej broni V-1 i V-2 przy pomocy której pragnie zrównać z ziemią Londyn, pokrzyżować plany desantowe aliantów i być może przechylić szalę zwycięstwa na korzyść Niemiec. Latające bomby są jeszcze na etapie prób i doświadczeń. Dla wywiadu angielskiego pierwszoplanowym celem stało się zdobycie maksimum informacji o tej tajemniczej broni, aby zawczasu przygotować się do obrony przed nią. Zadania z tym związane powierzono polskim wywiadowcom, ponieważ próby z nową bronią odbywały się na terenie okupowanej przez Niemców Polski. Polscy wywiadowcy znakomicie spełnili swoją rolę.

Przypomnijmy dziś, kto przyczynił się do rozszyfrowania dwóch zasadniczych elementów straszliwej w skutkach broni zwanej Wunderwaffe: rodzaju paliwa, którym napędzane były pociski oraz sposobu sterowania nimi z ziemi.

W maju 1944 roku, w okresie najintensywniejszego zdobywania części rakiet niemieckich, do polskich naukowców z Politechniki Warszawskiej ściśle współpracujących z ruchem oporu skierowano do analizy tajemniczy płyn znaleziony wewnątrz rakiety V-2. Był to najprawdopodobniej jeden ze składników materiałów pędnych. Poprzez prof. dr Józefa Zawadzkiego, ojca słynnego „Zośki", płyn trafił do rąk prof. dr Marcelego Struszyńskiego.

Przeprowadzona analiza płynu okazała się prawdziwą rewelacją. Był to perhydrol, czyli woda utleniona w stężeniu aż osiemdziesięcioprocentowym. Wówczas znano wodę utlenioną tylko w stężeniu trzyprocentowym. Przekazana drogą radiową z Warszawy do Londynu wiadomość o tym odkryciu zaskoczyła brytyjskich uczonych.

Podczas dalszych badań zdobytej rakiety stwierdzono, że pocisk posiada nadajnik i odbiornik radiowy. Przypuszczano, że urządzenia te służą do kierowania rakiety na z góry upatrzony cel. Wiadomość, że rakiety mogłyby być kierowane na określony cel, była dla Anglików bardzo groźna. Zaczęto się zastanawiać, czy nie istnieje możliwość wysyłania — np. z Anglii — odpowiedniego sygnału radiowego, który odebrany przez rakietę spowodowałby zakłócenie jej lotu i zmianę kierunku.

Odpowiedź na te pytania mogli dać wówczas tylko polscy uczeni. Rozszyfrowania mózgu V-2 podjął się największy autorytet w dziedzinie radiotechniki, prof. dr Janusz Groszkowski, który kierował wówczas zakładem radiotechniki Szkoły Technicznej w Warszawie, czyli po prostu dawnej Politechniki.

Profesor Groszkowski przeprowadził blisko dwutygodniowe badania. Wnioski opracowane przez uczonego w bardzo obszernym referacie wskazywały między innymi na to, że za pomocą istniejących w rakiecie urządzeń Niemcy mogą prawdopodobnie otrzymać dane dotyczące prędkości lecącego pocisku oraz wysokości, na jakiej się w danym momencie znajduje. Zdaniem profesora, wszystko wskazywało na to, że można spowodować eksplozję materiałów wybuchowych przed upadkiem rakiety na ziemię. Jak się potem okazało przewidywania polskiego uczonego okazały się najzupełniej trafne.

Wyniki badań prof. Groszkowskiego skierowano do Londynu dwiema drogami: krótki, zwięzły meldunek nadano natychmiast przez radiostację, natomiast obszerne sprawozdanie z rysunkami technicznymi wysłano do Wielkiej Brytanii w postaci mikrofilmu za pośrednictwem kuriera.

Raport radiowy o rozszyfrowaniu właściwości technicznych urządzeń nadawczo-odbiorczych rakiety V-2 znajduje się w archiwach Wojskowego Instytutu Historycznego Akademii Sztabu Generalnego. Widnieje na nim data 12 czerwca 1944 roku.

(oprac. jk)

Rys. J. Rocki

DLA MŁODYCH MIŁOŚNIKÓW TECHNIKI

Od 1 stycznia br. możecie nabywać w wolnej sprzedaży (kioski „Ruchu") lub za pośrednictwem prenumeraty — nowe czasopismo techniczne, wydawane w języku rosyjskim pod nazwą „Gorizonty Tiechniki dla Dietiej".

Zawiera ono szereg niezbędnych i pomocnych w majsterkowaniu wskazówek, pomocy metodycznych, opisów i ciekawostek technicznych oraz konkursów i zgadywanek.

Za pośrednictwem miesięcznika „Gorizonty Tiechniki dla Dietiej" będziecie mogli nawiązać korespondencje z kolegami w Związku Radzieckim, działającymi w kołach majsterkowiczów i techniki.

Ponadto, w czasopiśmie „Gorizonty Tiechniki dla Dietiej" będziecie mieli pomoc w nauce języka rosyjskiego, a zwłaszcza w poznaniu jego słownictwa i terminologii technicznej. Cena prenumeraty rocznej — 42 zł, półrocznej — 21 zł, kwart. 10,50 zł. Prenumeratę „Gorizontów Tiechniki dla Dietiej" przyjmuje Zakład Kolportażu Wydawnictw Czasopism Technicznych NOT, Warszawa, ul. Mazowiecka 12, tel. 26-80-16. Konto PKO — I OM Warszawa, nr 1-9-121-697. Polecamy!

W SZKOLE STU NARODÓW

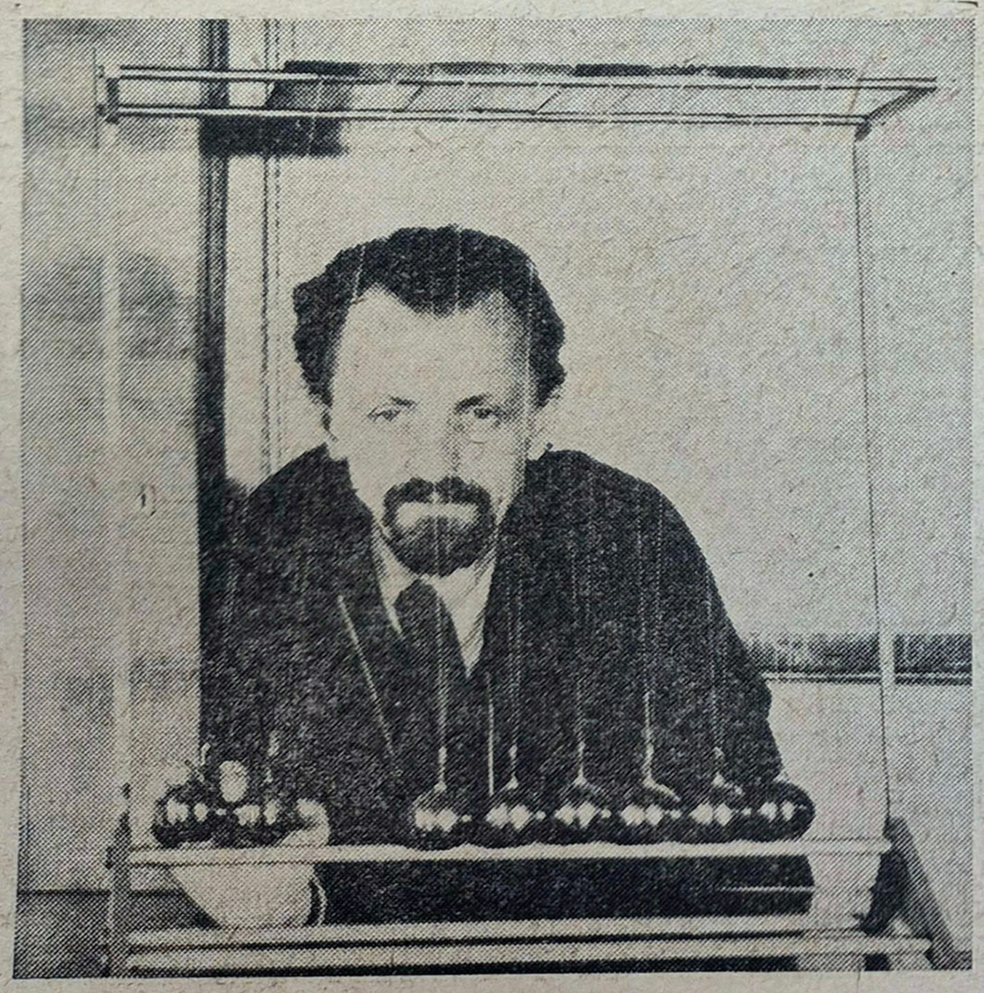

Dowodem uznania dla pracy pana Wojciecha Dindorfa było powierzenie mu w szkole ONZ funkcji kierownika jednego z pięciu wydziałów — wydziału przedmiotów ścisłych. Był nasz rodak także przewodniczącym związku zawodowego nauczycieli pracujących w szkole ONZ, a więc reprezentował interesy blisko 100 osób z 40 krajów świata.

Foto: Tadeusz Rostalski

Ciąg dalszy ze strony 1

Do you speak English?

Uczniami szkoły są głównie dzieci stałych przedstawicieli przy ONZ, pracowników sekretariatu Organizacji Narodów Zjednoczonych a także misji dyplomatycznych i ambasad różnych krajów w USA. W sumie reprezentowanych jest ponad 100 narodowości z całego świata! Jednak bariery na przykład rasowe, tak wyraźne w USA wśród uczniów absolutnie nie mają tu miejsca — mówi pan Wojciech.

Językiem wykładowym jest wyłącznie angielski, ale szkoła ma obowiązek prowadzić regularne kursy wszystkich pozostałych urzędowych języków ONZ. Tak więc rosyjski czy hiszpański, chiński albo francuski to po prostu przedmioty do wyboru. Poza tym, jeśli w szkole uczy się więcej niż pięciu przedstawicieli jakiegoś narodu, zapewnia się im naukę języka ojczystego.

Każdy nowy, nie znający angielskiego, uczeń zaraz po przyjeździe dostaje się do tzw. klasy-laboratorium, gdzie przez 8 godzin dziennie „nic nie robi"... tylko uczy się języka. Równocześnie ze swoimi rówieśnikami chodzi na lekcję rysunków i wf, bo wiadomo, tam dużo mówić nie trzeba. Po dwóch miesiącach nauczyciel decyduje, czy delikwent może się już uczyć innych przedmiotów i powoli wypuszcza go do klas. Zupełnie przygotowany do nauki jest po upływie czterech miesięcy...

Uczę się, czego chcę

Szkoła jest trzystopniowa i dzieli się na: 1) junior school — obejmującą klasy od I do V; 2) middle school — klasy VI — VIII; 3) hight school (odpowiednik naszego liceum) — klasy IX — XII. Naukę w klasie I zaczynają sześciolatki, które przedtem jeszcze przygotowywały się przez cały rok w klasie przedszkolnej.

Na ponad 400 uczniów w klasach licealnych nie ma dwóch o takim samym programie nauczania...

— **Jak to możliwe?** — pytam kompletnie zaskoczona.

—Już w klasach podstawowych (gdzie są jeszcze wychowawcy, stałe pokoje i jednolity program) daje się uczniom dużo przedmiotów do wyboru. Natomiast w średnich można się właściwie uczyć tego, czego się chce. Przychodzi sobie oto młody człowiek do IX klasy wiedząc, że będzie się jeszcze szkolił przez 4 lata. Dostaje program wymagań szkoły, z którego dowiaduje się, że aby zdać maturę trzeba np. przez 3 lata brać lekcje matematyki. Ale tych matematyk jest aż 30 rodzajów! Na jaki się zdecydować? Otóż po konsultacji z psychologiem, rozmowie z rodzicami na temat wyższych studiów oraz po samodzielnych badaniach testowych (żeby wiedział, na co go stać, a czemu nie podoła) — uczeń sam dokonuje wyboru. Wtedy można opracować już dla

REPORTAŻ WYSSANY Z PALCA

WARSZTAT PAPCIA CHMIELA

Z okazji zbliżających się Dni Humoru i Dowcipu (zbliżały się, ale niestety nie zbliżyły się na tyle, aby je obchodzić w tym roku) udałam się do studia Papcia Chmiela.

— Kolego Papciu! (już od dawna jestem z Papciem na ty). Skąd bierzesz pomysły do książeczek Tytusa, Romka i A'Tomka?

— W deszczowe niedziele zapraszam całą trójkę do studio i na taśmofixie nagrywam relacje z ich ostatnich przeżyć. Nagraną taśmę zanurzam w wywoływaczu przygód własnej produkcji HIS-13 (humor i satyra na lat 13), a następnie płuczę w utrwalaczu PQ (przygody ze znakiem jakości na licencji Sowizdrzała) i przegrywam taśmę w karty... tfu, co ja gadam,przegrywam w segregatorze pomysłów S-71 — licencja KISHU-KASHA (czytaj Kiszu-Kasza), który nie tylko segreguje przygody na sportowe, kosmiczne, wojskowe itp, ale równocześnie dośmiesza je.

— Dośmieszanie trwa dość długo. Czym się w tym czasie zajmujesz?

— Na wzór Disneylandu buduję systemem — Papcioland. Ale do rzeczy. Wybraną taśmę z serią przygód np. kowbojskich (księga IX) umieszczam w grafofonokomputerze, który treść przygód rozbija na obrazki i teksty do dymków.

— Wiem, że nie palisz papierosów. Czy nadmiar dymków w rysunkach ci nie szkodzi?

— Szkodzi, dlatego staram się ograniczać dymki do słów: „Bum!", „Bęc!", „Trach", itd.

— Czy prawda jest, że sam przygotowujesz materiały rysunkowe?

— Z konieczności idę śladami dawnych mistrzów, wszystko robię sam. Stare gazety wybielam na słońcu, potem nawijam na wałki i w maglu elektrycznym razem z bielizną osobistą poddaję wielokrotnemu wałkowaniu. Dzięki temu otrzymuję gładki i nie rozlewający tuszu papier. Tusz przyrządzam z sadzy, którą dostarcza mi co tydzień znajomy kominiarz. W każdą sobotę po zejściu z dachów pan kominiarz wchodzi do mojej wanny i podskakując otrząsa się z sadzy. W tym czasie ja trzymam się za guzik, co przynosi mi szczęście wydania następnej książeczki. Sadze zmieszane z wodą i płynem HCH (tajemnica produkcji) dają tusz niezmywalny, lepszy od znanych marek światowych. Farby sporządzam również sam. W czasie nadawania kolorowego programu w telewizji, na skutek małej ilości odbiorników kolorowych wysyłany program marnuje się bezużytecznie. Sypiące się z anteny nadajnika kolory łapię siatką na motyle i mieszam z klejem. Oto one:

Spojrzałam na półkę pełną przecudnych farb: Biały Kanion, Czerwień Sobacza, Czarna Rozpacz, Koci Lazur, Jaśniej Słońca, Biel Szpitalna, Zieleń Szczypiorkowa, Żółć Zębowa, Zabójczy Fiolet, Karmin Piracki, Seledynek Pokojowy...

— Czy mogłabym popatrzeć jak rysujesz książeczkę?

— Na rysunki potrzeba 72 565 km linii. Jestem dopiero na szesnastym kilometrze. Przyjdź za miesiąc, kiedy linie przerodzą się w obrazki, to się napatrzysz.

Rozmawiała:
ALICJA WSZYSTKOWIEM

Foto: Ewa Dindorf

niego indywidualny rozkład zajęć. A ponieważ wolny jest także wybór terminu rozpoczęcia nauki poszczególnych przedmiotów, nauczyciel ma w swojej klasie uczniów w różnym wieku.

Bez ściągawek i bez kawałów

Każdy z dwóch semestrów w ciągu roku zamykają egzaminy testowe ze wszystkich przedmiotów. Uczniowie traktują je serio i bardzo osobiście. („Ja mam teraz pokazać, co umiem, co mi w głowie zostało"). Dlatego nikt nie korzysta ze ściągawek! Nie ma przecież sensu oszukiwać ani samego siebie, ani tym bardziej nauczyciela, który zresztą traktowany jest przez ucznia z jednej strony trochę jak lekarz przez pacjenta...

— A z drugiej?

— Jak partner, w stosunkach z którym obowiązuje całkowita szczerość i równość. Nie zdarza się, żeby uczniowie robili psikusy, gdy nauczyciel odwróci się tyłem. Nie obgadują go też przed innymi. A jeżeli uznają któregoś z wykładowców za nudziarza, w pierwszej kolejności jemu powiedzą to szczerze w oczy.

— A gdzie autorytet pedagoga?

— Zdobywa się go w owej szkole tylko wtedy, gdy się potrafi odpowiednio podejść do ucznia, bo on rozumuje tak: „Nauczyciel jest specjalistą, a ja jego problemem do rozwiązania". Cóż, trzeba się nauczyć uczyć nawet tych, którzy nie mają na to ochoty. I nie odniesie skutku rozkaz: „Ty musisz to zrobić, ja ci każę", natomiast powodzenie rokuje odezwanie: „Ja ci to proponuję chcieć dla twojego dobra".

— A jak wygląda w ONZ-owskiej szkole sprawa ocen i nagród za dobrą naukę?

— Na cenzurkach stawia się oceny od A (b. dobrze) do F (kompletne zero), a obok tego wpisuje szczegółowsze komentarze na temat postępów w nauce. A nagrody? Nie, nie dawaliśmy ich. Bo za co? Czy za to, że ktoś się urodził z większymi zdolnościami, albo jest z natury pracowitszy?

— Czy zadaje się lekcje do domu?

— W minimalnym stopniu. Popularne są za to małe samodzielne referaty, zwane „projekt". W ciągu 2—3 tygodni przeznaczonych na opracowanie tematu uczeń sam zbiera potrzebne materiały w bibliotekach i tylko konsultuje się z nauczycielami.

Mam następcę...

Szkoła ONZ — jest szkołą prywatną i bardzo drogą (roczny koszt nauki jednego ucznia wynosi 2000 dolarów). Jakież więc było moje zdumienie, gdy po przyjeździe w 1966 roku — zobaczyłem, że mieści się ona... w zwykłym walącym się baraku. W pracowni fizyki nie było prawie żadnych pomocy naukowych, a połowa moich uczniów z braku miejsca musiała siedzieć na podłodze i parapetach. Po półtora roku sytuacja trochę się poprawiła, bo przeniesiono nas do budynku (bez okien) po dawnym magazynie. Te typowe dla Nowego Jorku kłopoty lokalowe skończyły się wreszcie w styczniu br. Szkoła przeniosła się do pięknego czteropiętrowego budynku z boiskiem sportowym na dachu, położonego w samym centrum miasta w pobliżu siedziby ONZ. Jako ciekawostkę podam fakt, że zbudowany on został z braku lepszego miejsca... na rzecznej wyspie utworzonej przez wysypisko śmieci.

— Pan wrócił, zanim te przenosiny nastąpiły?

— Tak, po zakończeniu roku szkolnego 1971/72. Ale zdążyłem jeszcze jako kierownik wydziału przedmiotów ścisłych wyposażyć w nowej szkole 23 pracownie naukowe. Cieszę się również, że udało mi się mimo ogromnej konkurencji (na ogłoszenie w prasie amerykańskiej o jednym miejscu dla nauczyciela zgłosiło się 80 osób, wśród których było wiele z doktoratami) ściągnąć do pracy w tej międzynarodowej szkole innych nauczycieli z krajów naszego obozu. Tak więc teraz zajęcia wf prowadzi Rosjanin, chemii — uczy Węgier, a fizyki — Polak.

Tak, zostawiłem swego następcę. Jest nim pan Jerzy Mirecki, opolanin jak ja...

Rozmawiała:
T. DROGA-KUPCZYŃSKA

Foto: Wojciech Dindorf

WIDMO w zamku KERMOAL

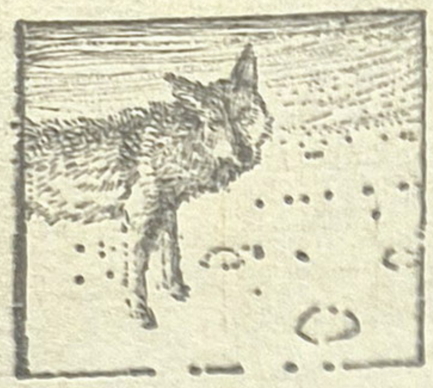

Van der Troost okrąża stół, zbliża się do zasłon. Czy je rozsunie?.. Bez Atu już go nie widzi, lecz słyszy, jak Holender otwiera jakiś mebel, coś mruczy. Potem znów się ukazuje tuż przy chłopcu. Demonstruje mu swoje potężne plecy, które zasłaniają widok na pokój. Nagle rozlega się strzał. W jakimś przebłysku Bez Atu rozpoznaje, że padł z broni z tłumikiem, Holender z całą pewnością zabił bezbronnego człowieka, uspokoiwszy go uprzednio przyjaznymi słowami.

„Jestem zgubiony" — myśli Bez Atu.

Van der Troost podchodzi do łóżka. Jego plecy znikają z ograniczonego pola widzenia Bez Atu. Holender trzyma w ręku coś, co dymi. Jest to butelka szampana. Podaje kieliszek nieznajomemu, nalewa do pełna, drugi daje Heinrichowi, na końcu nalewa sobie.

— *Prosit!*

Serce chłopca, które zatrzymało się na chwilę, wali teraz głośno. Bez Atu opiera się o okno. Nie czuje nóg. A trzej mężczyźni gawędzą wesoło. W pewnej chwili Van der Troost wygłasza coś w rodzaju małej mowy. Bez Atu wyłapuje niektóre słowa: *„Burg... Kapelle... Altar"*.

„Burg" to oczywiście Kermoal... A „Kapelle" — Kaplica Przebaczenia. Ale „Altar". O jaki ołtarz tu chodzi?

— *Es ist leicht* — mówi nieznajomy.

Co jest łatwe? Co oni teraz knują we trójkę? Bo mężczyzna został ich sprzymierzeńcem. Tajemnica zdecydowanie zagęszcza się. Jeśli doszli do porozumienia, niepotrzebna jest wszelka interwencja. Będą zgodnie odpowiadać na każde kłopotliwe pytanie. Pozostaje wobec tego tylko jedno: wydostać się z willi.

Mężczyzna podnosi się, stawia swój kieliszek obok złotej figurki konia i zaczyna się ubierać. Jego szybkie ruchy dowodzą, że wróciły mu już całkowicie siły. Z szuflady nocnego stolika wyciąga portfel, pęk kluczy i chusteczkę. Wszyscy zbierają się do wyjścia. Wychodzą pozostawiając zapaloną nocną lampkę.

Bez Atu natęża słuch. Nie wolno mu popełnić żadnego fałszywego kroku. Schody skrzypią pod ciężarem trzech mężczyzn, potem słychać, jak przechodzą przez hall. Są już daleko. Zapada cisza. Jednakże nie wyszli z domu. Bez Atu, zesztywniały po długim staniu bez ruchu, opuszcza swoją kryjówkę i wychodzi na schody. Przytłumiony szmer głosów wskazuje, że droga jest częściowo wolna. Schodzi stopień po stopniu usiłując zlokalizować swoich wrogów: znajdują się w pokoju obok kuchni. Bez Atu przemyka się do jadalni, przekłada nogę przez parapet okna, którym się dostał do willi. W ostatniej chwili cofa się: tuż pod oknem warczy wilczur.

Już jego wielkość robi wrażenie, a w dodatku pysk ma zły, z iskierką inteligencji w oczach. Został przyuczony do cichego, bezlitosnego warowania. Każdy obcy, którego mu jego pan nie przedstawił, jest wrogiem. Pies waruje w dalszym ciągu pod oknem, pysk ma ściągnięty, uszy postawione, cały jest zebrany w sobie, w każdej chwili gotów jest rzucić się jak jaguar na swoją zdobycz.

Bez Atu usuwa się z okna, żeby nie drażnić psa. Bał się, to prawda, kiedy Van der Troost otworzył butelkę, ale tego potwornego strachu nie można porównać z paniką, którą

usiłuje teraz opanować. Dyskutować można nawet z najstraszniejszym bandytą, lecz pies jest jak kobra jak rekin... Grozi śmiercią straszną i natychmiastową. Bez Atu sprawdza godzinę: W tym względzie dysponuje na szczęście dużym luzem. Ma czas na szukanie wyjścia, jeżeli tylko banda Holendra pozwoli mu ten czas wykorzystać. Od frontu jest jeszcze okno salonu. Stamtąd będzie mógł obserwować psa niezauważony. Jedno z dwojga: albo pies nie spuści oka z miejsca, gdzie podejrzany mu się pokazał, albo znudzony czatami, wróci do budy. W obu przypadkach Bez Atu miał przewagę. Ale jak ją wykorzystać? Nie ma mowy o przebiegnięciu jakichś pięćdziesięciu metrów podwórza dzielących go od bramy. Zaskoczenie będzie działało na jego korzyść, ale nie na długo. Trzy skoki i pies go dopadnie.

Mimo wszystko trzeba się upewnić. Bez Atu wolniutko otwiera drzwi salonu. Słyszy wyraźniej głosy trzech mężczyzn. Są w sąsiednim pokoju. Podchodzi do okna, uchyla zasłony.

Pies czeka. Szedł za nim na zewnątrz budynku, prowadzony przez instynkt, który niezawodnie podszeptywał mu, co robi przeciwnik. Sierść na szyi mu się jeży; uniesiona warga odsłania kły ostrzejsze od sztyletów. Bez Atu cofa się i zasłony luźno opadają. Ma ochotę rzucić się gdziekolwiek, na tapczan, krzesło, albo na dywan, tak bardzo jest wyczerpany. Co by się stało, gdyby zapukał do drzwi i zjawił się przed tamtymi obok?

„Przepraszam bardzo. Przechodziłem tędy i nabrałem ochoty, żeby powiedzieć panu dzień dobry".

W końcu jest synem adwokata Robiona, więc nie byle kim. Zdziwiliby się pewnie, ale teraz już nie zrobiliby mu nic złego.

Niestety, ten wspaniały projekt upada z powodu psa. No bo w jaki sposób Bez Atu mógłby dotrzeć do willi nie wywołując wściekłości owczarka? A jeśli pies nie zaalarmował pana, oznacza to z całą pewnością że Bez Atu już od dawna jest na miejscu. Jak się tu znalazł i po co? Chyba szpieguje.

Kółko się zamyka. Żadnej możliwości wywikłania się... Chociaż zaraz... Tak, jest jeszcze jedna szansa: warzywnik! Nie można dostać się do niego z parteru, bo mężczyźni znajdują się z tej strony domu, lecz jest pierwsze piętro...

Bez Atu bezszelestnie wychodzi na korytarz, wraca do pokoju, gdzie został złoty konik. Wślizguje się za firanki i otwiera okno. Pozostają okiennice. Przyczepia je do muru.

Nie omylił się: okno wychodzi na warzywnik, oznacza to ratunek, bo można tam bez trudu spuścić się po rynnie. Bez Atu jest przecież zwinny i lekki.

Ale wilczur znów się wyłania zza węgła willi. Którędy się przecisnęło to przeklęte zwierzę? Pies zajmuje już pozycję u stóp rynny, jakby odgadł zamiary chłopca. Czysta rozpacz!

Bez Atu przysiada na łóżku, jeszcze się zastanawia. Właściwie nad czym tu rozmyślać? Wygląda tak, jakby dom otaczała sfora psów: przy każdym oknie pies. A w dodatku w każdej chwili mogą nadejść trzej mężczyźni, równie niebezpieczni. A Bez Atu nie ma żadnej broni. Pod ręką jest tylko karafka, paczka waty, butelka eteru, tubka pastylek... gardenalu.

A gdyby udało się wilczura napoić wodą z rozpuszczonym gardenalem?... Może by usnął? To na nic, na pewno je wyłącznie z ręki swego pana. Poza tym Bez Atu nie widzi siebie jako pojącego bestię ze szklanki. Głowa biednego Bez Atu pęka od wysiłku. Trzeba za wszelką cenę coś wymyślić. A może eter? Co można zrobić z tym flakonem eteru?...

Nie, Bez Atu nie wpada na żaden pomysł. Chyba, że...

Chwyta flakon, wyjmuje korek. Natychmiast rozchodzi się wstrętny odór. Bez Atu zamyka butelkę. Zobaczymy! Jak mówią Anglicy, kiedy trzeba iść szybko, wtedy nie należy się śpieszyć. Podnosi się, przeszukuje kąty i trafia na laskę. Wyciąga ją i waży w ręku. Za chwilę rzuci swe życie na los szczęścia, więc każdy drobiazg jest ważny. Czy we flakonie jest wystarczająca ilość eteru? Jeszcze? Jeszcze jeden drobiazg, od którego dużo zależy. Na szczęście nieznajomy pozostawił opatrunek na łóżku. Bez Atu odrywa całą garść waty, okręca nią koniec laski, ciasno owija bandażem spinając go agrafką. Ma teraz na końcu laski solidnie umocowany tampon. Podchodzi do okna.

Pies czuwa w dalszym ciągu, cierpliwy, niezmordowany. „Zaraz zobaczysz, stary, jak to smakuje" — myśli złośliwie Bez Atu. Otwiera flakon i wylewa od razu połowę płynu na tampon. W głowie trochę mu się kręci; zakorkowuje pieczołowicie resztę eteru i wsuwa do kieszeni. Przekłada nogę przez parapet.

Uwaga! Nie może pozwolić sobie na żaden fałszywy ruch. Wyciągając jak najdalej rękę z laską, drugą ręką obejmuje rynnę i wyszukując czubkami stóp metalowe zaczepy, przylepiony do ściany domu jak alpinista do skały, zaczyna zbliżać się do psa. Wilczur szykuje się do skoku. Bez Atu obserwuje go z góry. Odległość między nimi pomału się zmniejsza. Lewa ręka zaciśnięta na rynnie bieleje z wysiłku. Pies nieco się cofa, żeby nabrać rozpędu. Bez Atu czyni ruch laską i nagle do psa dociera mocny, nieznany odór; cofa się warcząc. Teraz wrogiem nie jest już chłopak stojący na ziemi, lecz ta paczka na końcu kija, z której wydziela się zabójcza stęchlizna. W ślepiach wilczura zapalają się czerwone błyski. Chciałby rzucić się na chłopca, ale prawie nadziewa się na ten gąbczasty przedmiot, z którego sączy się okropny zapach. Na próżno szuka jakiegoś dojścia niczym ktoś, kto bierze udział w pojedynku i chciałby jak najszybciej skończyć walkę. Za każdym razem przed jego pyskiem wyrasta ta biaława morda nieznośnie ziejąca. Wtedy pies odstępuje, strach paraliżuje mu ruchy. Za cuchnącym kijem porusza się znienawidzona sylwetka; nie sposób przebić się, pokonać okropną przeszkodę.

Bunt napręża muskuły psa. Chciałby wbić kły w przeciwnika, wyć. Może tylko ze znacznej odległości postępować za cofającym się w stronę muru wrogiem. A przecież nie jest to groźny przeciwnik; nie jest ani duży, ani silny. Twarz ma pobielałą ze strachu. Ręka trzymająca kij drży. Lecz mały czarodziej ma straszliwą broń, broń, która rozsiewa zapach działający nawet z daleka i wypełniający mordę obrzydliwym słodkawym smakiem, jakby nagle krew przemieniła się w truciznę. Pies skomli. Zdobycz mu ucieka. Oto wdrapuje się na mur. Wykonuje jakiś ruch. Coś rozlatuje się w kawałki. Smród bucha, unosi się jak chmura i rzuca na zwierzę, które odskakuje do tyłu, przypada do ziemi i wyje, wyje...

C. d. n.

Ilustrował BOGDAN ZIELENIEC

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. RED. Nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji — 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA" RSW „Prasa, Książka, Ruch", 00-679 Warszawa, ul. Wilcza 46. Dyrektor Wydawnictwa, tel. 28-09-73. Dział Wydawniczy tel. — 29-35-52. Biuro Ogłoszeń — 00-033 Warszawa, ul. Górskiego 7, tel. 26-75-39. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa, Książka, Ruch", W-wa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 1,30, kwartalna zł 13,00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można również na konto PKO Nr I-1-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Prasa, Książka, Ruch", W-wa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Prasa, Książka, Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO I-6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych, na uprzednie pisemne zamówienia, prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Prasa, Książka, Ruch", Warszawa, ul Towarowa 28. Adres redakcji: Mokotowska 24 00—561 Warszawa. Niezamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Numer indeksu — 35039.

Zam. 2029. R-86

CZYTAMY i polecamy

Zajmująca zoologia

WSZYSTKICH miłośników przyrody, a właściwie zoologii, od laika, który tylko zachwyca się pięknem, po „fachowca", który cierpliwie studiuje np. życie owadów, zachęcam do przeczytania książki J. A. Cingera pt. „Zajmująca zoologia". Myślę, że lektura ta może zabawić, zafascynować każdego czytelnika nie mniej niż kowbojskie przygody. Wszystkich wielbicieli sensacji może przyprawić o dreszczyk emocji, np. wielki pająk ptasznik, który potrafi bardzo boleśnie ukąsić człowieka, ryba polująca na owady i węgorz elektryczny. Autor tak potrafi przedstawić fakty, powiązać je ze sobą, że czytając „Zajmującą zoologię" wydaje nam się, iż jesteśmy w fantastycznym świecie baśni, świecie, który wcale nie istnieje. Kto chce dowiedzieć się, czy istnieją motyle bez skrzydeł, czy są zwierzęta śpiące z otwartymi oczami, pająki mieszkające pod wodą, motyle wydające piski, ptaki, które podczas mrozów zakopują się w śniegu — niech przeczyta „Zajmującą zoologię". Wiadomości, których dostarczy ta książka, przydadzą się Wam niejednokrotnie na lekcjach przyrody i geografii.

„Zajmująca zoologia" została wydana w 1971 r. przez PZWS, kosztuje 24 zł, i ma 157 ciekawych stron.

AGATA
z Zielonej Góry

Mistrz od miniksiążeczek

NIEDOŚCIGNIONYM mistrzem precyzji jest inż. arch. Zygmunt Szkonecny z Katowic, autor kilkudziesięciu najmniejszych na świecie książeczek.

Miarą jego kunsztu może być fakt, że w tej dziedzinie zostawił on w tyle takich mistrzów miniaturyzacji jak Japończyków. Do najbardziej mikroskopijnych w kolekcji katowickiego hobbysty mikroksiążeczek należą m. in. życiorys Napoleona spisany na 44 stronach w formacie 2×2,5 mm, Kopernika na

48 str. w formacie 2×2, a także Kościuszki, Gagarina, Curie-Skłodowskiej.

Każda z tych książeczek liczy kilkadziesiąt stron zapisanych obustronnie specjalnym piórkiem technicznym. Tusz używany do tej operacji jest także wynalazkiem autora książeczek. Na jednej stronie mieści się około 30—40 liter. Napisanie jednej miniaturowej książeczki pochłania średnio około czterech miesięcy i wymaga nie tylko dużej cierpliwości i opanowania, ale przede wszystkim olbrzymiej precyzji. (jk)

Upał pod lodem

Radzieccy hydrolodzy odkryli w Jakucji, że pod grubą warstwą zmarzniętej ziemi znajduje się ogromne morze gorącej wody. Wiercąc otwory głębokości 2500 metrów, natrafili na wodę o temperaturze 50 st. C.!

Krokodyle za Kołem Polarnym

Śnieżne zamiecie, mróz i... krokodyle! Cos tu chyba nie gra. Tym niemniej właśnie na północy, w kopalni miasta Inta radzieccy geolodzy natknęli się na cmentarzysko krokodyli. Znalezisko to jeszcze raz potwierdza tezę, że w dawnych czasach północ była ciepłym krajem. Z czasem zmienił się klimat, flora i fauna. Zbiorniki wodne wyschły, zamieniając się w błota, torfowiska i pokłady węgla. W nich właśnie zostały „zamurowane" niespotykane tam dziś zwierzęta. (jk)

Pogawędki INSTRUMENTÓW

Wybitny dyrygent radziecki, Genadij Roździestwienskij, nazwał kiedyś kwartet smyczkowy pogawędką czworga dobranych przyjaciół. Słowo kwartet pochodzi od łacińskiego quartus — czwarty. Aby nie było nieporozumień: kwartet smyczkowy oznacza zespół wykonawczy złożony z dwojga skrzypiec, altówki i wiolonczeli, jak też i utwór napisany na taki właśnie zespół. By magii czwórki stało się zadość, dodajmy, że utwór — kwartet smyczkowy składa się zwykle z czterech części. Zatem na konkursie muzycznym spotkamy różne kwartety smyczkowe (zespoły), które grać będą jeden kwartet smyczkowy (utwór), a fachowa komisja oceni, jaki kwartet ten kwartet zagrał najlepiej. Uff, nie lada galimatias ze skromnym kwartetem! Nie wiem, niestety, kto tak koncertowo poplątał kwartetową sprawę — winę złożyć można jedynie na karb historii muzyki.

Muzykowanie w kwartecie smyczkowym rozwinęło się w epoce baroku (XVII—XVIII wiek) i w pełni rozkwitło w epoce klasycyzmu (w. XVIII i pocz. XIX). Stało się najbardziej typową i najdoskonalszą formą muzyki kameralnej. W dawnych czasach nie było wielkich sal przeznaczonych specjalnie do wykonywania i słuchania muzyki, jak nasze dzisiejsze filharmonie. Najchętniej grywano w gronie kilku osób, które mieściły się z łatwością w komnacie*) pałacowej księcia, czy pokoju bawialnym bogatego mieszczanina. Toteż muzykę kameralną należy rozumieć jako kompozycje pisane na niewielką grupę instrumentów, od 2 do 9.

Ostatnio wzrasta znowu popularność muzyki kameralnej. Jakże miło posłuchać koncertu w zabytkowym muzeum, w niewielkiej sali, przytulnej i nieco mrocznej. Festiwale muzyki kameralnej odbywają się stale na zamku w Łańcucie, w lecie organizuje się koncerty w pałacu w Wilanowie i warszawskich Łazienkach.

Kameralista to właściwie zupełnie odrębny typ artysty-wykonawcy. Musi umieć być zarówno solistą jak i akompaniatorem; powinien nie tylko starać się zagrać pięknie, ale ciągle czujnie słuchać jak i co grają pozostali przyjaciele. Bo kwartet porównać przecież można do przyjacielskiej pogawędki. Czasem ktoś jeden opowiada (temat główny utworu), a inni tylko potakują (głosy towarzyszące). Niekiedy jeden pyta, inni odpowiadają, a każdy wyraża własne zdanie. Albo rozmowa zmienia się w burzliwą dyskusję i głosy instrumentów spierają się, przedrzeźniają, milkną obrażone. Kto umie dobrze grać w zespole kameralnym, będzie także cenionym muzykiem orkiestrowym. Jest to więc umiejętność niezmiernie przydatna w muzyce.

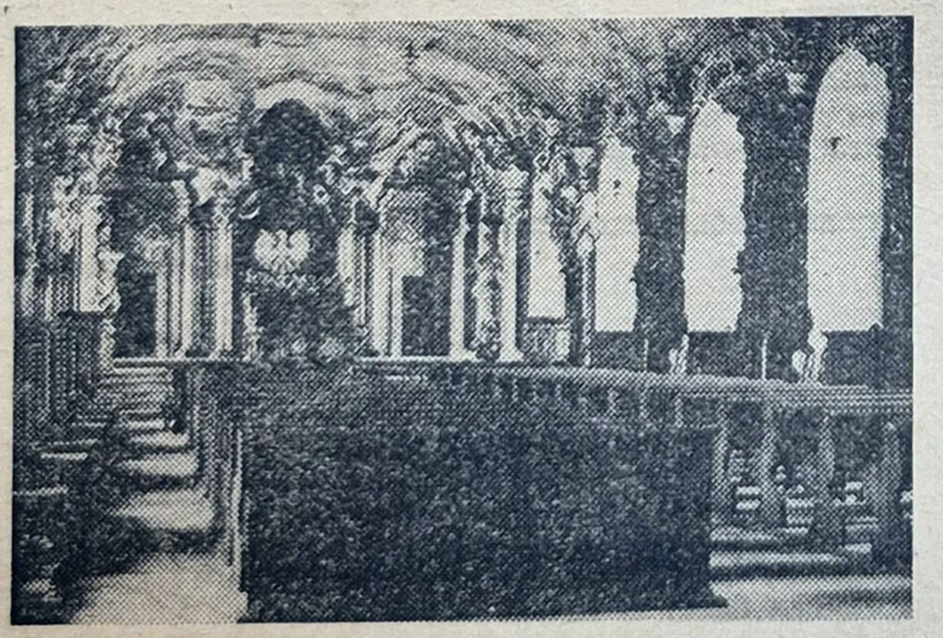

Aula Leopoldina na Uniwersytecie Wrocławskim.
Foto: CAF

W trosce o stałe podwyższanie tej umiejętności, wrocławscy muzycy zorganizowali w tym roku konkurs dla zespołów kameralnych średnich szkół muzycznych północnych i zachodnich ziem Polski. W konkursie wzięli udział uczniowie szkół muzycznych Wrocławia, Jeleniej Góry, Poznania, Szczecina i Gdańska. Koncert laureatów odbył się w przepięknej Auli Leopoldina Uniwersytetu Wrocławskiego. Aula ta jest zabytkiem architektury z okresu późnego baroku, a zarazem — jedną z najlepszych sal koncertowych właśnie dla muzyki kameralnej. Ściany boczne pełne są załamań i wykuszów, środek zajmują ławy z ciemnego drzewa, nie brak i wysokich naw bocznych. Wszędzie bogactwo rzeźb i malowideł.

Wzdłuż auli widnieją portrety starożytnych myślicieli i odkrywców. Jest Platon, Sokrates, Archimedes, Euklides. Pod wizerunkiem Arystotelesa widnieje podpis: Princeps Philosophorum, czyli Książę Filozofii. No a w kwietniową niedzielę panowała w Auli Leopoldina Jej Wysokość Księżna Muzyka, powstała w epoce baroku i klasycyzmu — utwory Bacha, Mozarta, Beethovena.

Najlepiej spisał się Poznań. Tamtejsze Liceum Muzyczne zgłosiło aż dwa kwartety smyczkowe, które zdobyły czołowe nagrody, I i II. Równorzędną II nagrodę uzyskał kwartet ze Szczecina, dwie III lokaty — trio z Wrocławia (2 klarnety i fagot) oraz kwartet blaszany (2 trąbki, 2 puzony) także z Wrocławia. Młodzi artyści grali z prostotą, a ślicznie, z całą powagą i mądrością, jakiej wymaga muzyka kameralna.

Myślę, że każdy kto lubi rozmowy z przyjaciółmi, może polubić muzykę kameralną.

M. KOMOROWSKA

*) camera — po włosku zn. komnata; musica da camera — muzyka komnatowa, kameralna.

WYTNIJ • WYPEŁNIJ • WŁÓŻ DO KOPERTY

Powszechna Księgarnia Wysyłkowa
ul. Nowolipie Nr 4
skr. pocztowa 1 003
00-950 Warszawa

Czytelnikom „Świata Młodych" poleca interesujące książki Wydawnictwa Łódzkiego

Ilość egz.	l.p.	Autor — Tytuł	Cena zł
.....	1	A. J. Afanasjew — BABCIA I SŁOŃ	40,—
.....	2	A. Bahdaj — ORDER Z KSIĘŻYCA	14,—
.....	3	H. Ditner — PATRZĄC NA WARSZAWSKĄ NIKE	40,—
.....	4	R. Doroba — TAJEMNICA PODZIEMNEGO LOCHU	12,—
.....	5	I. Dybowski — LISTOPADOWA ZAWIERUCHA	50,—
.....	6	Gabrysiewicz-Krzysztofikowa — KLASÓWKA BEZ ODWOŁANIA	20,—
.....	7	E. Kopczyński — MŁOKOS	20,—
.....	8	Z. Lorentz — NA NIBY I NAPRAWDĘ	30,—
.....	9	Z. Lorentz — WAKACJE POD BLASZANYM CZŁOWIECZKIEM	14,—
.....	10	Zb. Nienacki — PAN SAMOCHODZIK I FANTOMAS	34,—
.....	11	W. Piotrowski — DOLE I NIEDOLE DIABŁA BORUTY	20,—
.....	12	I. Sikirycki — NAJWESELSZA SZKOŁA	20,—
.....	13	I. Sikirycki — PIETREK Z PUSZCZY PISKIEJ	22,—
.....	14	I. Sikirycki — SIEDMIU NIEOBECNYCH	20,—
.....	15	T. Socha — TAJEMNICA JOLIBY	30,—
.....	16	LEKSYKON PWN	280,—
.....	17	ENCYKLOPEDIA POWSZECHNA PWN T. 1/4 (wpłata subskrypcyjna wynosi 300 zł, po zaznaczeniu tej pozycji (x) wyślemy odpowiedni formularz subskrypcyjny).	1 200,—

NADAWCA:

Nazwisko i imię .....

.....
(względnie nazwa instytucji)

.....
ulica, wieś, przysiółek, nr domu, nr mieszkania

.....
powiat

....
Nr kodu poczta

K-44/3

Szkoła piłkarska

„GOL" - 2

W pierwszym odcinku naszej Szkoły pokazaliśmy wam dwie metody uderzania piłki oraz sposób jej prowadzenia. Dziś zajmiemy się przyjmowaniem piłki i ćwiczeniami przygotowującymi do poszczególnych zagrywek na boisku. Ale najpierw krótka rozgrzewka:

„MYŚLIWI" I „ZWIERZYNA"

Jest to zabawa dla młodszych chłopców; uczy ona szybkiej orientacji, zwinności oraz oswaja z piłką. W grze może wziąć udział dowolna ilość zawodników podzielonych na dwa równe zespoły.

Stojący na obwodzie koła „myśliwi" tak zagrywają między sobą piłkę, aby ta dotknęła biegającą w środku „zwierzynę". Możecie się umówić, że będą się liczyć trafienia w całą powierzchnię ciała „zwierzyny" lub tylko w nogi. Upolowana „zwierzyna" opuszcza pole gry. Po upływie pewnego czasu następuje zmiana ról. Zwycięża ten zespół, któremu udało się stracić mniejszą ilość zawodników. Zabawa trwa 2 x 10 min. i można w niej używać jednej lub dwóch piłek.

Uwaga: **uderzanie piłką w głowę „zwierzyny" jest wzbronione.**

ĆWICZENIE TECHNICZNE

Chłopcy młodsi, ustawieni w kole, w odstępach 5-8 m. Piłka wędruje po obwodzie koła w ten sposób, że należy przyjąć ją lewą nogą, a podać do partnera wewnętrzną częścią stopy prawej. **Podanie nie musi być mocne, ale dokładne.**

Chłopcy starsi podają piłkę bez jej przyjęcia w ten sposób, że zagrywający ustawiony jest tak, iż widzi podającego i następnego przyjmującego. Uczymy się podawać z „pierwszej" piłki.

PRZYJMOWANIE PIŁKI

„Gaszenie" nogami. Sami wiemy jak dużą trudność sprawia opanowanie piłki górnej, szczególnie zagrywanej na duże odległości. Dlatego też, już na samym początku naszej Szkoły przystępujemy do nauki właściwego „gaszenia" piłki. Najłatwiejsze jest unieruchamianie piłki obunóż, jak pokazuje rys. Przy tym przyjęciu ważne jest należyte ustawienie się; akurat za punktem zetknięcia się piłki z ziemią. Nagłe wysunięcie kolan w przód utworzy „pułapkę", w której zatrzyma się piłka. Drugim sposobem jest stopowanie jednonóż, czyli nakrycie piłki stopą w momencie zetknięcia się z płytą boiska.

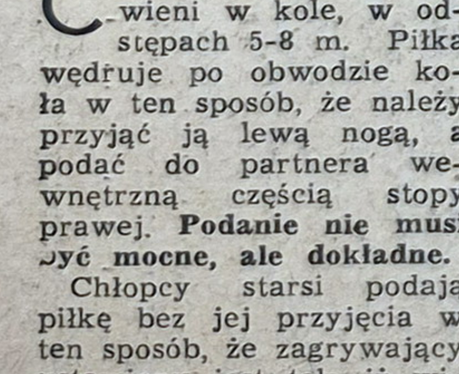

Piłkę zagraną nieco wyżej przyjmujemy na piersi. Zwróćcie jednak uwagę na właściwe ułożenie ciała przy przyjmowaniu piłki: głowa odchylona jest do tyłu, a klatka piersiowa wysunięta w przód. W momencie uderzenia piłki o ciało musi nastąpić cofnięcie klatki piersiowej, dzięki czemu piłka nie odbije się, lecz „usiądzie" na piersiach.

ĆWICZENIE W PARACH

Prowadzący piłkę napastnik stara się zorganizować indywidualną akcję, stosując drybling. Przeszkadza mu partner, pełniący rolę obrońcy. Zwróćcie uwagę, iż obrońca nie może odbierać piłki, a tylko stara się utrudnić napastnikowi jej prowadzenie. Zawodnik broniący powinien zawsze stać plecami do światła bramki, a także na linii piłka—bramka. Celem wszystkich poczynań napastnika jest przedostanie się w rejon bramki i zdobycie gola.

Życzymy przyjemnego treningu!

PYTANIA TYGODNIA:

1) Czy można wykonywać rzut z autu, stojąc na jednej nodze?

2) Reprezentacja Polski juniorów w 1961 roku brała udział w rozgrywkach o Puchar UEFA. Które zajęła miejsce?

Odpowiedzi prosimy kierować pod adresem: **Telewizyjny Klub Śmiałych P-35, 00-950 Warszawa,** z dopiskiem na kopercie: „GOL". Prawidłowe odpowiedzi wezmą udział w losowaniu cennych nagród.

Uwaga piłkarze! Prosimy was także o wypowiedzi dotyczące warunków treningowych. Interesuje nas bardzo czy macie gdzie i czym trenować, ilu chłopców bierze udział w szkoleniu, z jakimi borykacie się trudnościami? Zwracajcie się listownie pod wskazany wyżej adres.

(ZP)

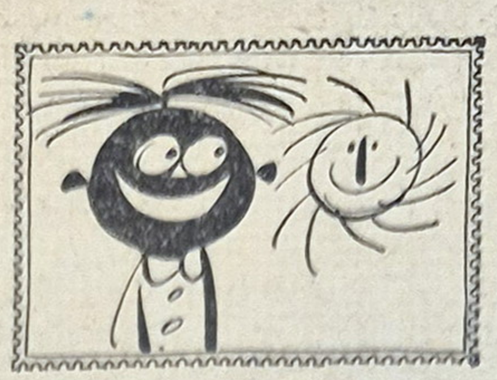

Redaguje
WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI

CZEŚĆ!

Pewien Szkot chciał nadać do domu depeszę z Nowego Jorku. Poinformowano go, że płaci się tylko za treść depeszy, zaś nazwisko nadawcy nie podlega opłacie. Szkot po namyśle zwrócił się do urzędniczki:

— Pewnie pani nie uwierzy, ale ja jestem Indianinem i nazywam się NIESTETYNIEBĘDĘMÓGŁWROCICPRZEDPIĘTNASTYMJOHN.

Tę anegdotkę przysłał mi Jacek Grenda, a Sylwek Żebrowski proponuje nowy palindrom:

SKOK W KOKS

Oto pierwszy mój portret z cyklu „Rzep na znaczku" nadesłany mi przez Małgosię Stasiowską z Oświęcimia. Zamieszczam kolejną pustą ramkę dla chętnych rysowników. Narysujcie mnie! Najdowcipniejsze pomysły wykorzystam oczywiście z podaniem nazwiska autora!

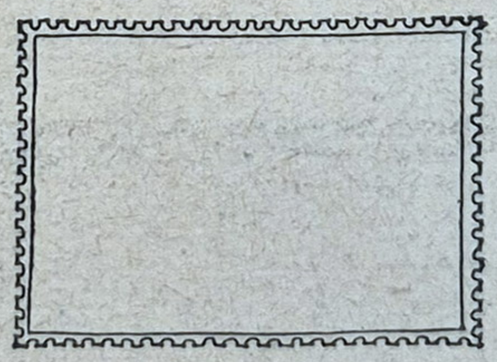

Dzięki temu, że jestem mały, mogę wcisnąć się niepostrzeżenie w różne ciekawe miejsca i stamtąd obserwować świat. Na razie byłem w dwóch miejscach, z których świat wyglądał tak jak to narysowałem. Zgadnijcie szybko — gdzie byłem?

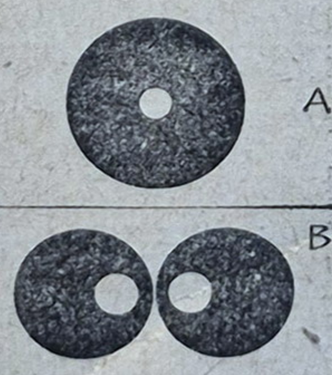

Oczywiście: a) w kominie fabrycznym, b) w dubeltówce! Jak uda mi się wleźć w jakieś interesujące miejsce, to Wam znów narysuję widok stamtąd.

Na razie cześć!

Wasz RZEP

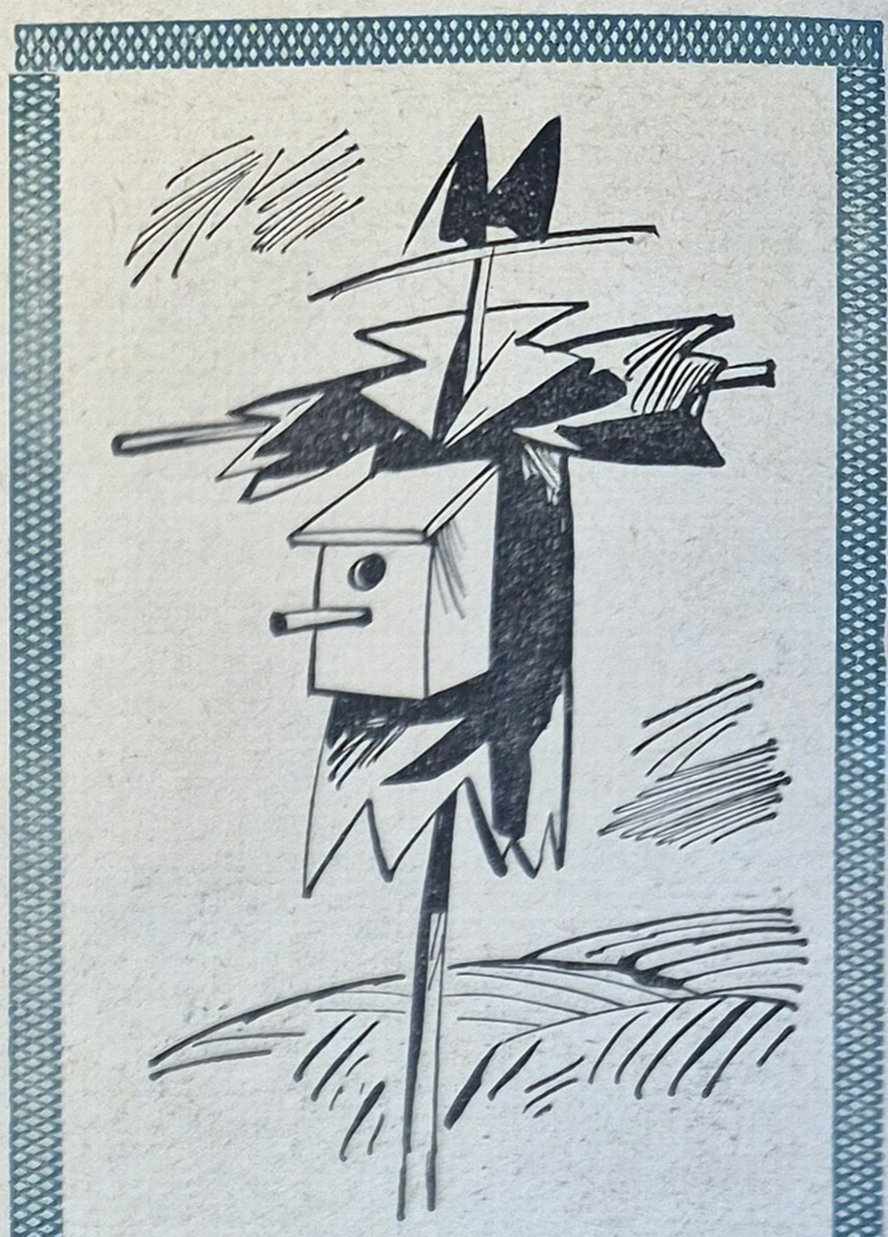

Rys. WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI

WYSZPERANE DLA RZEPA

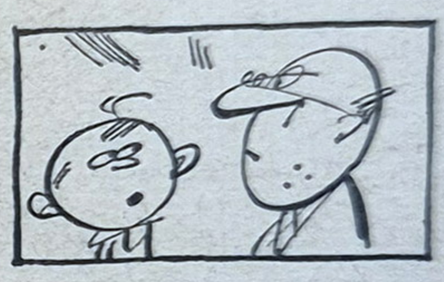

— Maciusiu, co przypominają ci swoim kształtem Włochy?

— But gumowy!

— Dlaczego gumowy?!

— No, bo naokoło jest woda!

Wyszperał
Józek Dembrowski

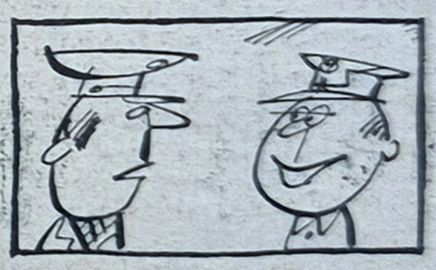

— Powiedzcie mi szeregowy, czym według was różni się inżynier od minera?

— Inżynier z belek buduje most, a miner zamienia to znów w belki...

Wyszperał Krzysiek Mazur

Nagrodę „Szperacz Tygodnia" otrzymuje Józef Dembrowski